

Rivers of Babylon 3

(fragmenty powieści)

Peter Pišt'anek

Frediego już kilkakrotnie próbowano okraść i za każdym razem, kiedy złodzieje orientowali się, że przez antywłamaniowe zabezpieczenia do samego domu się nie dostaną, włamywali się przynajmniej do garażu albo kuchni letniej. Szkody niby nie były jakieś superwielkie. Kiedyś zniknęła ładowarka akumulatorów, kiedy indziej pistolet na wodę, pompa głębinowa, kołpaki i zimowe opony. Kiedy jednak Frediemu ukradli kosiarkę motorową, wściekł się. Złodzieje włamali się do szopy, roztrzaskując kilofem drzwi.

– To nie byli profesjonaliści – stwierdził Rącz, który właśnie przywiózł Frediego z wypalania spółdzielczych stogów, sezonowo atrakcyjnego adrenalinowego klubu.

– To musiały być jakieś narkomany, nędzne, syfiaste, pojebane ćpuny.

– Dorwać takiego jednego, to by dopiero zobaczył – Fredy, sprawdzając szkody, oddaje się marzeniom.

– Weź sobie ochronę, jak Rącz – mówi Rącz. – Mojej posesji w dzień i w nocy pilnuje uzbrojony patrol. Nie gadaj, że cię nie stać. Załatwię ci dobrych chłopaków.

Ale Fredy jest chciwy. Wścieka się na złodziei bardzo, ale wizja tego, że miałby płacić za ochronę swojego majątku, za który już raz zapłacił, jest dla niego nie do wyobrażenia. Gdyby ich złapał, oczy by im wydułbał!

– Policjanci jak i złapią, to wypuszczą – mówi Rącz. – A nawet jeśli pójdą do sądu, poszkodowani i tak z tego nic nie mają. Nikt im szkód nie wynagrodzi. A za kilka miesięcy ci ludzie i tak są na wolności.

– Ale nie ze mną tak! – nakręca się Fredy. – Ja, gdybym ich złapał na gorącym uczynku, poobcinałbym im paluchy!

– Nie mógłbyś – mówi Rącz. – Jeszcze byś i ty miał sprawę w sądzie. To trzeba inaczej. Od razu zajebać i zakopać.

Frediemu się ten pomysł podoba.

– Wiesz co – mówi Rącz – gdybyś przypadkiem złapał jakiegoś złodzieja, najpierw go zwiąż, a potem do mnie zadzwoń. Rącz ci pokaże, jak to się robi.

I rzeczywiście kilka tygodni później Fredy zauważył, że w krzakach obok wejścia do garażu ktoś zostawił złodziejskie narzędzia. To odkrycie wprawia go w złość. Myśli o tym, co mu powiedział Rącz. Pomysł, że mógłby wziąć odwet za wszyst-

kie krzywdy, które mu złodzieje wyrządzili jeszcze w czasie, gdy jako strażnikowi parkingu ukradli mu torbę, napawa go radością.

Ze składu swojej firmy weźmie kilka par stalowych kajdanek. Przygotuje pistolet na gaz, który kupił, kiedy byli z Sidą na swoich pierwszych wakacjach w Hiszpanii. Już sam rzut oka na pistolet, wierną kopię amerykańskiego, policyjnego kolta, przywołuje koszmarnie wspomnienia. Jak kilka dni chodził koło tego sklepu z nożami, replikami i antykami, aż w końcu go kupił. Sidzie się to nie podobało, więc musiał jej wyjaśnić, że to rekwizyt do następnego filmu.

Teraz Fredy już od kilku dni nie opuszcza domu. Ma robotę, więc siedzi w domu i pisze scenariusz. Nadstawił uszu, serce mu bije z podniecenia. Jego myśli mają wpływ na scenariusz. Gospodyni domowa przyłapuje złodzieja i wraz ze swoją służącą torturuje go i poniżają: wbijają mu igły w organ płciowy i brodawki, musi też pić ich mocz. Pisanie mężczy Frediego. Musi się do niego zmuszać. Utrata żony i córki zabrała mu całą chęć do życia. Wszystko robi już tylko z przyzwyczajenia. Nie je, nie myje się, nie odbiera telefonów, nie reaguje na dzwonek do drzwi. Żaluzje ma cały czas spuszczone i zapala światło, żeby mu nic ze świata zewnętrznego nie przypominało o sprawach, z którymi się już wewnętrznie pożegnał.

Fredy budzi się w nocy. Słyszy szmer. Zerka przez żaluzje i w mroku dostrzega, że ktoś się przemyka na dworze. Wybiega na zewnątrz z pistoletem gazowym i trzyma złodziei w szachu. To dwaj nastoletni narkomani. Mają długie włosy i wyglądają całkiem porządnie. Fredy podaje jednemu z nich kajdanki i rozkazuje, żeby je założył drugiemu. Potem sam zakłada kajdanki pierwszemu. Dzwoni do Rácza na komórkę.

– Pająk złapał dwie muchy – powtarza to, co usłyszał w filmie.

Rącz filmu nie widział, więc chwilę trwa, zanim zrozumie.

– Mam zadzwonić na policję? – pyta Fredy.

– Nie! Nie! – krzyczy Rącz, a jego głos traci wszystkie oznaki senności. – Oni są nasi!

W jego głosie słychać myśliwską albo raczej wędkarską pasję. Jak wtedy, gdy się komuś złapie na haczyk olbrzymia ryba i ten poprosi kolegę wędkarza, żeby mu pomógł wyciągnąć ją na brzeg.

Fredy jeszcze porządnie nie odłożył słuchawki, a na zewnątrz już niecierpliwie zapiszczały gumy sportowego mercedesa Rácza.

– To oni? – pyta Rącz, spoglądając na dwie kuleczki nieszczęścia zbite w kącie.

Złodzieje zaczynają sobie uświadamiać, że coś jest nie w porządku. Jednak naiwnie liczą na to, że skoro są niepełnoletni, to wyjdą z tego bez szwanku.

– Ołkej – mówi jeden z udawaną pewnością siebie. – Zadzwonić na policję, niech to się już skończy.

– Tego byście chcieli, co? – śmieje się Rącz złośliwie. – Nie bójcie się, damy sobie radę bez policji.

Złodzieje milkną. Nie spodziewali się takiego obrotu sprawy.

– Daj się czegoś napić – mówi Rącz do Frediego.

Fredy przeszukuje cały dom i w lodówce znajduje butelkę szampana, jeszcze po Sidzie. Nalewa do dwóch kieliszków.

– Zabiłeś już kogoś kiedyś? – Rącz pyta się Frediego i wypija szampana jak piwo. Podstawia kieliszek.

Fredy dolewa i kręci głową.

– Jeszcze nie – przyznaje.

– Nawet zwierzęcia? – dopytuje Rącz. – Mówię o jakimś większym: psie, kocie, kurze?

Fredy się zastanawia.

– Nie – kręci głową. – Kury, gęsi i króliki u nas zabijał stryj.

– U nas, na wsi, z której pochodzę – mówi Rącz – wszystko zabijał Rącz. Nawet koźleta.

– No to ja bym tak nie umiał – mówi Fredy.

– Przyzwyczaiłbyś się, gdybyś musiał – mówi Rącz. – A karpia na święta?

– Sida kupuje... kupowała filety – odpowiada Fredy. – W karpniu nie lubię ości i tego bagiennego posmaku.

Złapani złodzieje przysłuchują się rozmowie z rosnącą fascynacją, do której wkrada się pewna obawa.

– Wiem, o co ci chodzi – mówi Rącz. – Ale jeśli namoczysz karpia w mleku i wsadzisz na noc do lodówki, ten bagienny posmak się wytrąca. Lenka mnie tego nauczyła, moja wspaniała żona.

– To już i tak bez znaczenia – ciągnie Fredy. – Jakie święta? Teraz, kiedy Sida odeszła...

– Przecież ona wróci... – mówi Rącz. – Chcesz ją z powrotem? Rącz ją każe dla ciebie znaleźć, gdziekolwiek jest. Moi ludzie przyprowadzą ci ją z powrotem. Ale moim zdaniem powinieneś ją olać. Tobie trzeba porządnej, zdrowej dziewczyny, najlepiej studentki, takiej jaką ma Rącz, a nie... Właściwie ciekawiłoby mnie, jak znośeś, że ją w tych twoich filmach jebało tyle facetów. Jak w ogóle mogłeś z nią spać, wiedząc, że miała już tyle kutasów w sobie? Nigdy tego nie rozumiałem.

– To praca jak każda inna – odpowiada Fredy. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– A może cię to trochę rajcowało, co? – Rącz uśmiecha się z przekąsem. – Są tacy... których podnieca, że ich kobieta należy do wszystkich, że widzą jej cycki i całą tę resztę... aż po szyję.

Fredy się zastanawia i dochodzi do wniosku, że Rącz ma właściwie rację.

– I dlatego tak skończyłeś, Fredy – mówi Rącz. – Kto z kim przestaje, taki się staje. Przecież twoja kobieta nie musiała, jak to nazywasz, pracować. Mogła zostać w domu, a ty byś sobie kręcił te swoje świństwa z innymi maniurkami, nie? I nie

miałbyś teraz tego problemu. Powiem ci coś, Fredy. Gdyby ktoś zobaczył cipę kobiety Rácza, Rącz by mu wyłupał oczy!

Rącz dopija szampana i zdecydowanym ruchem odstawia kieliszek na stół.

– No, trudno. Ty się znasz najlepiej. Czyli jeszcze nikogo nigdy nie zabiłeś?

– Ale gdzie tam. Muchy, różne takie. Raz zabiłem butem mysz. Jeszcze na parkingu. Wlazła mi do przyczepy.

– Zabicie człowieka jest tak samo proste. To humaniści narobili wokół tego tyle szumu. W rzeczywistości człowiek nie jest niczym więcej niż myszą. Tych dwóch to nawet mniej niż mysz. Zrobisz coś dla świata, jeśli ich zabijesz. Nie tylko dla terażniejszych, ale też dla przyszłych generacji. Bo jako ćpuny mogliby swoje obrzydliwe, mniej wartościowe geny, które wciągnęły ich w narkotyki, szerzyć dalej i zatruwać i tak już zdegenerowaną ludzkość.

– Hej, co wy mówicie? – pyta jeden z długowłosych. – Nie możecie nas tak po prostu zabić! Przecież nic nie zrobiliśmy! Jesteśmy niepełnoletni! Zadzwońcie po tę policję!

– Wszystko wynagrodzimy! – prosi drugi.

– Zatkaj mu gębę! – mówi Rącz niechętnie, nie patrząc na złodziejasków.

Fredy bierze z kuchni tłustą, wilgotną i kosmatą ścięgę do mycia podłogi, przedziera ją na pół i każdemu wpycha do ust jej połowę. Złodzieje robią uniki i starają się wypluć śmierdzące tekstylia.

– Jeśli natychmiast nie zamkniecie gęby – mówi zdenerwowany Rącz – to spalimy was żywcem. Benzyny mamy dość.

Rącz ponownie zwraca się do Frediego.

– Nie mówię, że zabicie człowieka to bułka z masłem. To doświadczenie, które cię całkowicie zmieni. Wystarczy, że raz zabijesz, a już nigdy nic nie będzie takie samo. Między życiem a śmiercią jest bardzo cienka granica. Patrz, o tak. Rącz wyciąga pistolet, zakłada tłumik i odbezpiecza broń.

– Zobaczyłeś moją twarz i dlatego musisz umrzeć – mówi Rącz do złodzieja, groźnie się śmieje i strzela do niego bez wahania. Wystrzał, pomimo tłumika, słychać w całym pomieszczeniu. Kiedy gryzący dym się rozproszył, złodziej szarpnął się w przedśmiertnym skurczu i znieruchomiał.

– Siadła ta kula, co? – mówi Rącz i podaje broń zszokowanemu Frediemu. – A teraz ty tego drugiego.

Złodziej trzęsie się ze strachu, przez materiał słychać stłumione kwilenie.

– No, Fredy, pokaż, że jesteś mężczyzną, a nie dzieckiem! – rozkazuje Rącz. – Weź sprawiedliwość we własne ręce!

Fredy mierzy do złodzieja. Jednak ręka mu się trzęsie i lufa opada.

– Nie mogę – mówi.

– Daj – Rącz bierze broń i strzela drugi raz. Dwa trupy leżą obok siebie, w pomieszczeniu czuć spalony proch.

– Nie przejmuj się, Fredy – mówi Rącz pojednawczo. – Następnym razem na +

pewno się uda. Teraz jedziemy na jednym wózku. Ciągłe jesteście współwinny. To kolejna rzecz, poza wspólnym hobby, która nas łączy.

Fredy ciągle nie może dojść do siebie. Wybałuszonymi oczami patrzy na trupy.

– Oni już nic nie ukradną – mówi Rącz. – No, a teraz, Fredy, musimy ich zakopać. Weź kilof i łopatę i wykop w ogrodzie z tyłu jamę. Na co się gapisz? Chyba nie będę wszystkiego robić sam.

Fredy zaczyna kopać. Zaczyna z tyłu ogrodu, pod drzewami. Wierzchnią warstwę z trawą, po radzie Rączy, ostrożnie odkłada na bok. Noc jest cicha, tylko od strony dworca słychać odgłosy lokomotyw. Fredy stara się kopać jak najciszej, żeby nie obudzić sąsiadów. Kiedy jama jest już wykopana, Fredy i Rącz układają w niej ciała obu złodziei.

– Jaki on leciutki – dziwi się Rącz przy pierwszym. – Co też z człowiekiem robią narkotyki. No, raz dwa!

Rozkołusują trupa i wrzucają do jamy. Idą po drugiego. Po wszystkim Fredy zakopuje jamę, uklepuje ziemię i układa warstwę trawy. Szlauchem zmywa resztki gliny z trawy i nikt nawet by nie zgadł, że przed chwilą ktoś tu coś kopał.

– No – mówi Rącz – chodźmy do środka. Zostało tam trochę tego szampana?

Fredy trzęsącą się ręką rozlewa resztki.

– No to za nas – mówi Rącz i wznosi kieliszek. – I nie martw się, Fredy. Powoli stajesz się mężczyzną. Dobrze, że spotkałeś Rączy. Dzięki Rączowi coś z ciebie jeszcze będzie.

Po odejściu Rączy Fredy z latarką idzie jeszcze raz spojrzeć na groby. Wraca do pustego domu i zanim położy się spać, pozapala wszędzie światło. I tak go dręczą sny, że ktoś uwalany gliną, ze szmatą w ustach, kładzie dłoń na klamce do jego domu. Ze trzy razy w ciągu nocy wstaje sprawdzić, czy drzwi są porządnie zamknięte.



Kiedy Kubeś dostaje wezwanie do Ministerstwa Obrony Narodowej, w pierwszej chwili obawia się, że chodzi o szkolenie wojskowe. Wojsko odfajkował jeszcze za komunistów, w latach osiemdziesiątych.

Nie ma zbytnej ochoty błaznować w uniformie.

Na szczęście już samo przyjęcie go na wejściu świadczy o tym, że chodzi o coś innego. Chorąży na portierni bierze od Kubeśa wezwanie, wciska przycisk i przez komunikacyjne urządzenie ogłasza komuś niewidocznemu:

– Pan Kubeś przyszedł.

Za moment pojawia się porucznik ze sznurkami.

– Proszę za mną – polecił Kubeśowi uprzejmie, ale powściągliwie.

Kubeś własnym oczom nie wierzy. Gdzie się podziały zastępy spoconych i zathuszczonej dozorców w wypucowanych gaciach, których pamięta jeszcze z czasów

wojska? Tutaj wszyscy wyglądają jakoś inaczej; jak absolwenci anglosaskich szkół wojskowych. Oszołomiony rusza za porucznikiem. Ten prowadzi go do pomieszczenia, w którym znajdują się już jacyś ludzie, część z nich stoi, część siedzi.

– Proszę sobie tutaj usiąść i chwilę poczekać – mówi. – Zaraz zaczynamy.

Kubeš rozgląda się wokół siebie. Oprócz niego w pomieszczeniu znajduje się około siedmiu, ośmiu mężczyzn w podobnym wieku. Dwóch z nich ma na sobie takie same uniformy Czeskiej Żeglugi Łabsko-Odrzańskiej. Po reszcie też widać, że to marynarze. Kubeš przygląda się dokładniej. Pod oknem stoją jego kumple z praskiej floty statków wycieczkowych, Honza Libáň i Franta Skopšík. Podchodzi do nich i wita się. W tym momencie jego wzrok pada na niskiego mężczyznę stojącego z nimi.

– Mikuš! – mówi.

– Kubeš! – odpowiada mężczyzna.

Byli studenci Wyższej Szkoły Morskiej padają sobie w objęcia.

– Nie widziałem cię od czasów Odessy! Ostatnia wiadomość, jaką miałem o tobie, to to, że pływasz na Zlínie.

– Zlín to przeszłość. Zresztą tak jak cała nasza żegluga morska. Byłem tam do ostatniej chwili, aż do sprzedaży. Myślałem, że nowy właściciel statku mnie zostawi.

– Zlín sprzedali Koreańczykom, nie? – pyta się Kubeš.

– No, ale oni nie są zainteresowani. Nie jesteśmy dla nich dość tani. Rosjanin zrobi to samo za połowę albo nawet jedną trzecią. Teraz pracuję na południu Czech. W melioracji.

– Czyli szału nie ma?

– Z pewnością. Ale przynajmniej mam gdzie mieszkać. W przyczepie. A co u ciebie?

– Ja ciągle pływam – mówi Kubeš. – Po Wełtawie. Jestem kapitanem Pfitznera.

– Co ty gadasz? Co to za statek?

Kubeš, Libáň i Skopšík wybuchają śmiechem.

– Kiedy będziesz w Pradze następnym razem, kup sobie bilet – mówi Libáň. – Rejs wycieczkowy po Wełtawie. Panorama Hradczan. Wyszehrad. Jak w Kapitanie Korkoranie.

Śmieją się wszyscy w czwórkę.

Do pomieszczenia wchodzi mężczyzna. Na oko czterdzieści lat, jest szczupły, przedwcześnie posiwiłe włosy, niebieskie oczy. Jest w cywilu, ale już na pierwszy rzut oka widać, że to żołnierz.

– Dzień dobry, panowie – mówi doniosłym głosem, tak że wszystkie stłumione rozmowy cichną. – Widzę, że humory dopisują! Dziękuję, że przyjęliście nasze zaproszenie. Nazywam się Sosna. Jiří Sosna. Na początek powinno wystarczyć. Teraz chciałbym poznać was.

Podchodzi do każdego oficera marynarki osobno i podaje mu rękę. Każdy z nich się przedstawia.

– Pewnie jesteście ciekawi, po co was tu zwołaliśmy – mówi Sosna. – Wszyscy jesteście byłymi oficerami marynarki, będącymi kiedyś członkami dziś już nieistniejącej czeskiej żeglugi handlowej. Wszyscy jesteście absolwentami Wyższej Szkoły Morskiej. Obecni tu panowie Kylar i Drličiak – Sosna podnosi głowę i szuka kogoś wzrokiem – ukończyli nawet dwa uniwersytety. Jestem tu po to, żeby wam zaprezentować waszą życiową szansę. Może komuś z was odpowiada praca na łodzi i sny o morzu po zaniku żeglugi handlowej. Moja oferta jest skierowana do tych, którzy chcą w życiu osiągnąć coś więcej niż bycie kapitanem zniszczonego, zardzewiałego holownika na Wełtawie albo Łabie.

Zebrani milczą.

– Mam wam do zaproponowania coś, na co nigdy byście nie wpadli – mówi Sosna. – Gdybyście tu siedzieli cały dzień i noc i zastanawiali się, co to może być, gwarantuję wam, że żaden by nie zgadł. To niezwykle istotny, ale też ryzykowny biznes. Waszą nagrodą będą całkiem ładne pieniądze. Powtarzam: całkiem ładne pieniądze. Ale nie tylko. Dla większości z was pewnie silniejszą motywacją będzie wzięcie udziału w czymś wielkim, czymś, dzięki czemu zyskacie szacunek całego narodu czeskiego, chwałę na całym świecie i karierę, o jakiej nawet nie śniliście.

Sosna robi dramatyczną przerwę.

– Komu się wydaje – ciągnie – że tu nie pasuje, może odejść. Kto nie jest zadowolony ze swojego życia, ale brakuje mu odwagi, również może odejść. Niech zostaną tylko ci, którzy pragną popchnąć swoje życie do przodu. Tak, panowie, macie dziesięć minut, żeby podjąć decyzję. Kiedy wrócę i zastanę tu kogoś, omówimy szczegóły.

Sosna odwraca się na pięcie i opuszcza pomieszczenie, odprowadzany hałasem rozdrażnionego ula.

Kiedy wraca po dziesięciu minutach, wszyscy są na swoich miejscach. Na jego twarzy pojawia się opanowany uśmiech.

– Panowie, proszę za mną – otwiera drzwi do dużej sali konferencyjnej.

– Moje imię już znacie – mówi Sosna. – Teraz dodam, że jestem oficerem czeskiej marynarki wojennej w randze kontradmirała.

Sala szumi.

– Tak, nie przeszłyzeliście się – uśmiecha się Sosna. – Czeskiej marynarki wojennej. Brzmi dziwne, prawda? Cóż, panowie, historyczne znaczenie państwa czeskiego, jak i jego pozycja w skali światowej ulegną wkrótce znaczącej zmianie. Jeżeli wszystko się uda, staniemy się jedną ze światowych potęg. Korona czeska wytyczyła już swoje strategiczne cele i do ich obrony będzie w przyszłości potrzebować sprawnie działającej marynarki wojennej. Dlatego taka powstała.

Jak dotąd tylko na papierze. Wy wszyscy, którzy tu siedzicie z otwartymi ustami, macie możliwość stać się jej członkami. Jej założycielami!

Konradmirał Sosna napawa się szokiem obecnych.

– Czeska flota składa się obecnie z kilku zarejestrowanych jako cywilne statków nawodnych oraz floty podwodnej. Tę stanowi obecnie jedna łódź podwodna, do której wkrótce dołączą kolejne dwie. Wszystko zależy od tempa remontów. Są to niemieckie okręty, seria U-XXI.

Sosna kiwa na pomocnika, który zaciąga zasłony i włącza projektor. Na płótnie pojawia się fotografia okrętu podwodnego omawianego typu.

– Hm, nie jest to może najnowocześniejszy sprzęt wojenny – przyznaje Sosna.

– Mimo licznych modernizacji, nie da się ukryć, że ten okręt został wyprodukowany pod koniec II wojny światowej. W tym czasie był to bardzo nowoczesny sprzęt, a do naszych celów okręty te będą w zupełności wystarczające. – Sosna znów robi dramatyczną pauzę, żeby wzmocnić efekt swoich słów.

– Z pewnością chcielibyście wiedzieć, co za to dostaniecie. Oferujemy wam możliwość zostania oficerem czeskiej marynarki wojennej w randze podporucznika z miesięczną pensją w wysokości 25 tysięcy koron. Wasza kariera zawodowa jest wyłącznie w waszych rękach. Każdy stopień wyżej wiąże się z podwyżką w kwocie 5 tysięcy koron miesięcznie. Niektórzy z was mają już z podstawowej służby wojskowej tytuł porucznika, a zatem ich podstawowa pensja wynosi 30 tysięcy. Za każdą godzinę spędzoną przy wykonywaniu zadań bojowych należy się wam dodatek operacyjny w wysokości 15 koron. Więc kiedy spędzicie na morzu, powiedzmy, miesiąc, do pensji podstawowej możecie doliczyć sobie 10 tysięcy koron.

W sali huczy jak w ulu.

– A ponadto – ciągnie konradmirał Sosna – zaraz po podpisaniu umowy każdy z was dostanie dodatek rekrutacyjny w wysokości 30 tysięcy koron i dwutygodniowy płatny urlop. Zastanówcie się tylko: zacząć nową pracę od urlopu!

Marynarze już nie wytrzymują, wybuchają okrzyki i oklaski.

– Jeżeli chodzi o wasze umiejętności bojowe – kontynuuje Sosna – wręczystości nie chodzi o walkę bezpośrednią, prawdopodobieństwo bezpośredniego konfliktu jest praktycznie zerowe. A zatem brak doświadczenia w walce na okręcie podwodnym nie jest przeszkodą. Najważniejsze jest wasze doświadczenie w codziennej służbie morskiej. Tego, czego będziecie się musieli nauczyć, nauczycie się na ćwiczeniach wojskowych, które odbędziecie w najbliższym czasie. Dzięki wam sytuacja naszego kraju w skali globalnej radykalnie się zmieni. Szkolenia będą tylko teoretyczne, na symulatorach. Przebieg waszego szkolenia będzie skrupulatnie monitorowany. Dwóch najlepszych uczestników dostanie awans do rangi młodszego kapitana oraz obejmie funkcję dowódcy okrętu podwodnego. Reszta będzie się musiała chwilo zadowolić niższymi stanowiskami. Nawiasem mówiąc, zaraz +

po pomyślnym zakończeniu projektu i jego odtajnieniu wszystkich was wyślemy do Stanów Zjednoczonych na praktyczne szkolenie na okrętach podwodnych. Planujemy stworzyć prawdziwą flotę wojenną, której potęga będzie adekwatna do znaczenia naszego kraju w przyszłości, po zmianach w układzie sił. Dlatego też każdy z was zostanie wynagrodzony według swoich umiejętności i zasług. To wy będziecie tymi pierwszymi, a tego wam już nikt nie zabierze. No, na dzisiaj, myślę, wystarczy. Reszty dowiecie się bezpośrednio od waszych przełożonych na szkoleniu. Ja mam do was jeszcze tylko jedną sprawę – Sosna robi dramatyczną pauzę, a po chwili ciągnie ściszym głosem, jakby ktoś go mógł podsłuchać.

– Wszystkie informacje, które wam podałem, mają ściśle tajny charakter. Wymaga to od was absolutnej poufności. W przeciwnym razie będzie kara. Ponieważ jest to sprawa szczególnej wagi, o najwyższym priorytecie w ramach czeskiego wywiadu wojskowego, wszystko inne musi iść na bok. Z góry zatem ostrzegam, że zrobimy wszystko, aby ze świata zniknął nie tylko ten gaduła, ale i wszyscy, z którymi podzielił się tajemnicą, a nawet wszyscy ci, u których istnieje tylko cień podejrzenia, że przypadkiem się o niej dowiedzieli. A zatem mogą zniknąć całe rodziny i kręgi przyjaciół. Uważamy, że to jest tego warte. Zastanówcie się nad tym, panowie. A teraz przystapcie, proszę, do podpisywania umów.

Sosna kiwa na pomocnika i ten przynosi stos dokumentów.

– Jeszcze jedno, panowie, jeżeli jest tu ktoś, kto się nie czuje gotów, może odejść – mówi Sosna. – Nie będziemy mu mieć tego za złe. Oczywiście musi zapomnieć o wszystkim, co tu widział i słyszał.

Nikt się nie zbiera do wyjścia. Wszyscy patrzą pewnie. Już dawno się zdecydowali. – Podejrzałem, że mnie nie rozczarujecie – mówi Sosna niemal wzruszony. – Zanim wysłaliśmy wam wezwania, przeglądałem wasze życiorysy. Patrzyłem wam w oczy na zdjęciach. Z każdym z was już jakby wcześniej rozmawiałem. To ja w końcu z setki oficerów morskich minionej żeglugi handlowej wybrałem właśnie was. I nie pomyliłem się. Razem zbudujemy żelazne jądro czeskiej marynarki wojennej! Sosna ścisza dłoń w pięść i pozwala jej opaść na blat stołu.

– A teraz, panowie – mówi przyjacielskim tonem – mój pomocnik będzie wam rozdawał umowy, a ja opowiem wam coś o sobie. Urodziłem się w Pilźnie. W 1949 roku, kiedy miałem trzy lata, moi rodzice wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. Tam dorastałem, skończyłem liceum i uniwersytet i zgłosiłem się do marynarki. Walczyłem między innymi w Wietnamie. Po bitwie w Zatoce Perskiej odszedłem i zacząłem prowadzić własną działalność gospodarczą. Ze względu na biznes wróciłem do ojczyzny, gdzie wkrótce otrzymałem propozycję nie do odrzucenia. Minister Obrony Narodowej powierzył mi stworzenie marynarki wojennej oraz dowództwo nad nią. Podjąłem się tego wyzwania, wzięcia udziału w czymś, co dopiero powstaje. Na co mogę mieć – z waszą pomocą – wpływ. I, cholera, możecie być pewni, że razem nam się uda. Chcę, żebyście wiedzieli, że jestem tutaj dla was.

Pięść znów opada na blat stołu.

– A teraz przeczytajcie dokładnie swoje umowy – mówi Sosna. – W razie jakichkolwiek wątpliwości zwróćcie się do mnie.

Konradmirał siada za katedrą i otwiera jakąś teczkę.

Kubeš przygląda się swoim kolegom. Oferta jest tak kusząca, że nie ma o czym mówić. Kartkuje umowę. Jest sporządzona bardzo szczegółowo, a podpisany zobowiązuje się do dziesięcioletniej służby w czeskiej marynarce wojennej. Normalne sprawy, nic więcej ani mniej niż przy zwyczajnym zatrudnieniu. Tylko akcent jest położony na poufność.

Marynarze bez słowa podpisują umowy i pobierają dodatek rekrutacyjny.

– Na razie będziecie służyć bez mundurów – mówi Sosna – co oczywiście nie oznacza, że możecie się zachowywać nie po żołniersku. Pamiętajcie o tym! Wręcz przeciwnie, wasze członkostwo w elicie czeskich sił zbrojnych zobowiązuje was do ścisłego przestrzegania zasad wojskowego kodeksu. Proponuję, żebyście się nie zastanawiali i jeszcze dziś zwolnili się z pracy. Za porozumieniem stron lub z miesięcznym okresem wypowiedzenia. Jeśli ktoś będzie miał z tym problem, należy mnie poinformować. Zgłosimy was jako osoby niezbędne dla bezpieczeństwa narodowego. Wszyscy spotkamy się 15 września w Leśanach pod Pragę. Dostaniecie dokładne informacje. Tam przejdziecie przyspieszone szkolenie, ponieważ dużo czasu minęło, od kiedy byliście w wojsku, i trzeba będzie przypomnieć wam wojskowe zwyczaje. A potem przejdziecie błyskawiczny kurs z łodzi podwodnej. Panowie, gratuluję wam podjęcia najlepszej decyzji w waszym życiu.

Po tych słowach Sosna strzela obcasami i odmaszerowuje z sali, a za nim pomocnik z naręczem umów.

Po tym wszystkim świeżo upieczonych marynarzy okrętu podwodnego, z pieniędzmi w portfelach, już nic nie zatrzyma. W ramach krótkiej operacyjnej narady uzgadniają, gdzie pójść napić nagłą zmianę w swoim życiu.

– Na Stráži mają otwarte dopiero od trzeciej – wykrzykuje Skopšík, który kiedyś w Dejvicach mieszkał i wszystko tu zna. – I to straszna nora. Lepiej chodźmy do Rygi, jest otwarta już od pierwszej.

Tak też się dzieje. Elita czeskiej marynarki wojennej z hukiem opuszcza budynek ministerstwa.

– Stary, jak ja to wszystko wyjaśnię mojej żonie, to serio, nie mam pojęcia! – śmieje się Skopšík, choć przestaje mu być to obojętne.

– No, też bym to chciał wiedzieć – mówi Kylar. – Rano wychodzę z domu jako urzędnik Gospodarki Wodnej, a wieczorem wracam jako oficer okrętu podwodnego. Ale jaja!

Tłumaczenie z języka słowackiego: Olga Stawińska